

Nr. 5. Poznań, dnia 1 Lutego 1879. Rok II.

KLARA.

Powieść
Pauliny z L. Wilkońskiéj.
(Ciąg dalszy.)

Dnia pewnego wbiegła niezaanonsowana młoda, ładniutka blondynka, drobna, a elegancko ubrana do salonu.

— Klarciu! Klarciu! gdzież jesteś? wołała z ożywieniem.

Klara z drugiego nadeszła pokoju.

— Walerko! wykrzyknęła i rzuciły się sobie w objęcia.

— Zkądżeś mi spadła? pytała; sadzając ją na kanapkę i przy niéj usiadła.

— Wszakżeż mieszkamy o dwie mile od P. Przybyliśmy wczoraj, dowiedziałam się, że tu na zimę mieszkacie i pospieszyłam zaraz.

Drzwi otworzono i wszedł młody, przystojny mężczyzna, z mocnym zarostem, od ostrego ogorzały powietrza.

— Mój małżonek: pan Stanisław Krężelski, dziedzic Markowa — przedstawiła go z uśmiechem pani Walerya.

— Państwo mi wielką, nader miłą czynicie niespodziankę — wymówiła Klara, podając mu rękę z wdzięcznym wyrazem — nie wiedziałam wcale, że tak blisko ztąd mieszkacie. Siadaj, dobry panie, mąż mój nadejdzie zaraz.

— I jakżeż ci się w P. podoba? zapytała jéj Walerya.

— Mało i rozpatrzyłam się jeszcze. Ale pójdzie to jakoś. Zresztą zamieszkamy tu tylko do końca marca.

— Och, to niedługo, szkoda!

— Czy bywasz tu często?

— Dość często, bo zwykle mam różne sprawunki.

— I żoneczka moja lubi miasto — uśmiechnął się pan Stanisław — lubi teatr, koncerta, a czasem i potańczyć trochę.

— Czy państwo tu macie dużo znajomych?

— Bardzo niewiele, ale i nam wystarczą.

— Będziecie dziś w teatrze?

— O z pewnością.

— Weźcie lożę obok naszéj.

— A któryż macie numer?

— Dziewiąty.

— Więc weźmiemy dziesiąty lub ósmy — odezwał się pan Stanisław — zapiszę go sobie.

— Nie potrzeba! zawołała Walerya. Nie czyń sobie tego trudu; spamiętam go dobrze.

— Prawda, że doskonałą masz pamięć.

Nadszedł Lucyan. Powitał gości radośnie i pogadanka potoczyła się wesoło.

Klara cieszyła się na dzisiejsze przedstawienie: grano, *Szlachectwo duszy*. Ale mniéj ją obchodziła sztuka: uśmiechało się do niéj spodziewane sąsiedztwo.

Weszli do loży, gdy wtem — o zawodzie! — widzi o lóż kilka Krężelskich, a z niemi i jakiegoś nader ładnego kawalera.

— Ach Boże! zwróciła się do Lucyana — mieli być obok w loży, a tak daleko są od nas. Jakaż to niepamięć.

— Może biletów już nie dostali...

W téj chwili wybiegł p. Stanisław ze swojéj loży i przyszedł do nich.

— Dobry wieczór! wymówił, podając rękę pani Klarze. Wystaw sobie pani — dodał z wyrazem żalu. — że mimo zachwalonéj pamięci swojéj, Walerka pomyliła się w numerze państwa, jesteśmy miłego pozbawieni sąsiedztwa.

— Jakaż to szkoda!

— I my żałujemy bardzo. Na raz przyszły już jéj nie pozwolę takiego ustrzelić bąka.

Po chwili pan Stanisław powrócił do żony, — która tymczasem wesoło ze swoim młodym rozprawiała sąsiadem.

— Któż jest ten kawaler z nimi, zapytała Klara męża.

— Julian Żerdziński: ma ztąd wioskę o milę. Ładny chłopiec, nieprawdaż?

— Tak... dosyć.

— O, nie dosyć? zaśmiał się Lucyan — ale bardzo ładny. Wielka to przyjaźń z Krężelskiemi!

Rozpoczęła się sztuka. — Nie było dziś już pani Floryny z jéj adjutantami, a — co więcéj — nie było także i

nieznajomego z *vis-à-vis* na przeszłém przedstawieniu. Artyści dobrze grali — lecz Klara wcale humoru nie miała.

Ażeby sobie przynajmniéj w czemś wynagrodzić, poleciła mężowi, by państwo Krężelskich zaprosił po teatrze na herbatę. Stał się zaraz bardzo chętnie powolnym jéj życzeniu. Poszedł ale z niczem wrócił: pani Walerya kazała podziękować, bo zamówiła do siebie krawczynię, by jéj parę sukien oddać do roboty — lecz obiecała, że kochaną Klarcię jutro zrana odwiedzi.

Dopełniła też téj obietnicy sumiennie i przybyła jeszcze przed jedenastą.

— Widzę, że tak wiele po francuzku czytasz — wymówiła Walerya, rzucając się na fotel i podejmowała jednę książkę po drugiéj ze stołu.

— Czytam bardzo wiele, bo i cóżbym robiła! Począwszy od Balzac'a i Georg'a Sand, a kończąc na najnowszych utworach.

— A który jest twoim ulubionym autorem?

— Lubię Balzac'a: on tak zna serce kobiety, tak głęboko w każde jéj wnika wrażenie, uczucie...

— Ja! bo wolę nowszych: zawsze co nowe; to i postępowe więcéj; George Sand porówno z młodymi idzie naprzód.

— Tworzy i maluje piórem czarującém. Co za głęboka u Balzaka znajomość serca dziewiczego...

Można żyć i przestawać z postaciami stworzonemi przez niego.

— Dzisiejsi Feydeau i Flaubert więcéj jeszcze i w najdrobniejszy wnikają szczegół, i więcéj są postępowi.

— Wywołują drastyczność — Klara zapłonęła zlekka.

— Otóż to właśnie jest genialném!...

A jakże po takich arcy-tworach, można polską czytać powieść? To też ja polskich nie czytuję wcale i są mi za blade, za moralne, nudne....

— Lecz mają wdzięk rodzimy; malują nam nasze postacie, towarzystwo nasze!..

— To widujemy wszędzie i nudzą nas! ruszyła Walerya ramionami i uśmiechnęła się. — Nie mogę tego czytać: wezmę czasem do ręki, gdy mąż o to woła, przerzucę, ziewnę i porzucę.

— Czy macie miłe sąsiedztwo?

— Takie sobie nudne figury wiejskie, szlacheckie, z wyjątkiem jednego...

— Zapewne tego, który wczoraj był u was w loży...

— Zkądżeż wiesz?

Walerya poruszyła się nagle.

— Mówił mi Lucyan.

— A pan Lucyan zkąd wie? spojrzała na nią z szeroko rozwartemi oczyma.

— Zapewne od p. Stanisława, który mu mówił, że to jest wasz sąsiad i przyjaciel.

— Tak... lubią się ze Stasiem bardzo! bywa u nas często. Wyjeżdżamy konno, czytujemy razem, grywamy na cztery ręce... i tak nam przyjemnie czas zchodzi.

— Pragnęłabym dla nas takiego sąsiedztwa.

— Macie nudne zapewne?

— Takie sobie zwyczajne...

— Otóż to!

— Więc zapełniam sobie czas czytaniem.

Walerya niby spochmurniała chwilowo, jak gdyby z téj rozmowy zadowoloną nie była i zapewne miała jeszcze różne sprawunki do załatwienia, — ale potem i rozweseliła się znowu.

Tegoż dnia samego pod wieczór wyjechali z W., bo p. Stanisław spieszył się do gospodarki.

W trzy dni potém był Lucyan na wielkim proszonym objedzie u prezesa: był to stary kawaler, więc tylko męzkie towarzystwa przyjmował.

Klara wieczór cały, długi, przepędziła samotnie. Czytała — i czytała. Przeczytała nawet aż dwa romanse! jeden z dawniejszych Balzac'a — a drugi nowy przez Feydeau; drobiazgowa i dokładna analiza wszelkiego wrażenia i uczucia każdego, podziwiać jéj kazała talent wielki i zapatrywanie się na dno duszy, serca i umysłu. A treść poruszała ją drastycznie i gorączkowo rozbujała fantazyą.

Odłożyła przeczytaną książkę i już więcéj czytać nie chciała, nie mogła. Przebiegła salon wzdłuż i wszerz. Na stole jasno paliła się lampa. Samotność raziła ją niemile — a potem wybujałą fantazyą zapełniła sobie próżnią w około, postaciami, które z przeczytanych opowiadań, nakreślonych po mistrzowsku, w żywéj przechowała pamięci. Wreszcie przybłąkała się i myśl — jak przyjemnie mógłby popłynąć wieczór, gdyby go jakie wyborowe umiliło towarzystwo, i bezwiednie niemal posunął się przed wzrokiem jéj duszy... Kto?... nazwać go nie umiała, — lecz widziała elegancką jego postawę, pochylenie się pełne wdzięcznego ruchu — i zwróconą na siebie lornetkę...

Pobiegła do okna. Otworzyła je i wyjrzała na ulicę! było ciemno i pusto, śnieg popruszał — a wiatr blado błyszczącą pomiatał latarnią. Posłyszała odgłos szybkiéj, zbliżającéj się stopy; poznała chód Lucyana — i zatrzasnęła okno.

W chwili potém mąż jéj wszedł do salonu.

— Och, tak długo, tak długo bawiłeś, Lucku! powitała go wyrzutem.

— Wybacz, kochana! wziął ją w objęcia i pocałował w lica — obiad trwał do godziny 7éj, potém zrobiliśmy małego preferansa. Inni pozostali jeszcze; jam wymknął się cichaczem, bo mi głowa cięży; piliśmy dużo wina, a stare i różne.

— Dużo było osób?

— Coś podobno przeszło pięćdziesiąt.

— I kto też?

— Wszystkie pierwsze figury miasta i obywatele z okolicy. Przyjęcie było wystawne, jedzenie wykwintne. — Nudziłaś się pewnie biedaczko? objął jéj stanik i przeszedł z nią pokój.

— Naturalnie! Już ani wiedziałam co począć ze sobą.

— Trzeba nam koniecznie mieć kilku znajomych, którzyby nas wieczorami odwiedzali.... Czy jesteś po herbacie?

— Od dwóch godzin. Przecie to już po dziesiątéj; w ochoczém będąc towarzystwie, ani wiedziałeś która godzina, gdym ja każdy kwadrans liczyła.

No, już się nie gniewaj! musnął ją pod bródkę — a za to napiję się jeszcze z tobą herbaty, by wino wyszumiało rychléj.

Zadzwonił na Wojciecha.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Fałszywa kartka wizytowa

czyli

Pan Baltazar w tarapatach.

Humoreska.

Napisał Leon Noel.

1.

Przy ulicy berlińskiéj, jednéj z pryncypalnych miasta Poznania, mieszkali państwo Kukasińscy. — On Baltazar, — ona Łucya, — oboje młodzi, nie dawno się mający małżonkowie, żyli sobie szczęśliwie i swobodnie wśród wzajemnéj miłości i szacunku. — On kochał swą Łusię namiętnie, nazywając ją „swém słonkiem;" — ona kochała swego Baltazarka całą siłą serca kobiecego zwiąc go „aniołkiem." — Dwa lata wzajemnego pożycia przeszły im lotem błyskawicy, — i gdyby nie małe chmureczki, pojawiające się raz po raz na jasnym horyzoncie pożycia małżeńskiego, — państwo Kukasińscy nie znaliby innego smutku i martwienia. —

Chmurki te, lubo małe i przelotne, niemile jednak mąciły kochającemu się małżeństwu nektar rozkoszy, jakim się poili w ciągu dwuletniego pasma miesięcy miodowych —, a jednak, — sami sobie byli temu winni. Pani Łucya bowiem, kochając swego męża, strasznie była o niego zazdrosną i podejrzliwą; — pan Baltazar zaś, obdarzony z urodzenia szczególnie delikatnym zmysłem piękna, lubił, obok całéj miłości „swego słonka," podziwiać i uwielbiać wszystko, co było pięknem. Nie dziw więc, że z przyjemnością zatapiał się w podziwy, gdy mu sposobność nadarzyła zejść się z piękną jaką „gwiazdką", nęcącą bądź to pięknem oczkiem, bądź kształtnym noskiem, zgrabną figurką, lub figlarnym uśmiechem. Pani Łucyi nie podobały się oczywiście te szczególniejszego rodzaju studya astronomiczne jéj męża, i zdarzało się nieraz, że gdy p. Baltazar nie mogąc się oprzeć wrodzonemu pociągowi zatopił się w adoracyi „gwiazdy" jakiéj, nagle „słonko jego" zamroczone wyrywa go z marzeń, — chmura czarna zbiera się nad głową, grzmot przeciągły groźnie odbija mu się o uszy, — a ulewny deszcz łez rzesistych z szafirowych cząt ukochanéj Łusi do reszty oziębia w nim wszelkie zachwyty i rozprasza marzenia poetyczne.

Pan Baltazar zażegnywał burze takie jak mógł; — klękał, bił się w piersi, przepraszał, obiecywał poprawę, zaklinał się na czém świat stoi, wyrzekał, gniewał się, ściskał, całował i wreszcie rozpłakał się wespół z ukochaną Łusią i szlochał, dopóty, dopóki nie udało mu się chmury rozpędzić i rozjaśnić twarzy „swego słonka." —

Pan Baltazar bał się chmurek takich jak ognia, — a ci co bliżéj go znali szeptali sobie na ucho, że dla miłego spokoju domowego rzadko kiedy pozwalał opanować się wrodzonéj słabości do studyi tak dlań niebezpiecznych, a i z tém krył się przed „swém słonkiem" jak mógł najbardziéj, — i dzięki temu zaprzaniu się p. Baltazara, jako i ostróżności jego, w kochającém się stadle małżeńskiem zapanował dość długi spokój i wzajemne zadowolenie.

Powiadają jednak starzy ludzie że „licho nie śpi" i pan Baltazar mimo całéj walki prowadzonéj z wrodzoną skłonnością, mimo całéj ostróżności, — ba, zupełnie tym razem niewinnie, jak gdyby za pokutę za dawne grzechy, popadł niespodzianie w tarapaty, których się wcale nie spodziewał. Rzecz miała się jak następuje:

Pewnego wieczora o 10 wrócił p. Baltazar z miasta do domu. Ledwo przestąpił próg pokoju i zamierzył przywitać się z ukochaną Łusią, gdy ta głosem gniewnym i od płaczu drżącym zapytała go szorstko: „gdzieś był? zkąd idziesz?" Pan Baltazar spojrzawszy w zapłakane oczęta p. Łucyi od razu poznał, że „słonko" jego grubo coś zachmurzone i że się zanosi na ciężką nawałnicę. Zmięszał się więc nieco i odrzekł niepewnym głosem:

„Wyszedłem za interesami memi, moje ty słoneczko . . ."

„Śliczne to te twoje interesa." przerwała mu żona, „dziś wreszcie poznałem się na nich. „Wiem dobrze gdzieś siedział; — Halka cię bawiła!"

„Halka?" powtórzył zdumiony małżonek.

„Tak, Halka!" powtórzyła Łusia, „nie myśl, że mnie tą razą okłamać potrafisz!"

„Ja ciebie okłamać?" rzekł Baltazar, dziwiąc się coraz bardziéj, „ależ ja przecież nie myślę cię wcale okłamywać, zaręczam ci pod słowem, że nietylko na Halce nie byłem, ale nie wiem nawet czy ją dziś grano . . ."

„Co, i ty pozwalasz sobie drwić jeszcze ze mnie," krzykła Łucya, „tego już za wiele, niegodny człowieku, — widziałam cię przecież na własne oczy!"

„To jest niemożebném," odrzekł Baltazar, „widzę żeś była w teatrze, — ale ja zaręczam ci raz jeszcze, że nawet nie wiedziałem o tém, że dziś Halkę dają." —

„Ależ nie udawaj, że mnie nie rozumiesz," krzykła w największém uniesieniu Łucya, „toć ja nie mówię o Halce operze, tylko o szwaczce!" —

„O szwaczce?" powtórzył z coraz większém zdumieniem Baltazar, i oczy jak miał duże zwrócił na żonę, „cóż ci tam znów u licha w głowę wjechało, szwaczka, — Halka, — teatr, opera, — nie rozumiem nic a nic o co ci chodzi?"

„Otóż ci powiem, o co mi chodzi," zaszlochała pani Łucya, „dziś wybrałam się do Halki, do téj szwaczki, co u nas przed kilku tygodniami szyła, a którą musiałam dla ciebie oddalić. —"

„Dla mnie?" ozwał się urażony małżonek.

„Tak, dla ciebie, boś jéj się zaczął mizdrzyć," ciągnęła Łucya.

„No, mniejsza o to," odrzekł Baltazar, „i to znów jedno z twych uwidzeń; przeszło, — minęło, dajmy teraz pokój. — Mów o co ci dzisiaj chodzi."

„Idąc więc do Halki, weszłam na trzecie piętro, ależ przecież wiesz co się daléj stało, boś w téj właśnie chwili od niéj wyszedł i przeszedłeś tuż obok mnie. —"

„Ha, ha, ha, wyborne," zaśmiał się Baltazar, przeświadczony o swéj niewinności, „a to komedya. Łusiu, słuchaj, przysięgam ci, że u Halki na trzeciém piętrze noga moja nie postała."

Łucya z niedowierzaniem spojrzała na męża; tak stanowczo nigdy jeszcze nie mówił o swéj niewinności; „prawda, ciemno było trochę na wschodach, nie mogłam cię zupełnie poznać, ale wróciłam się za tobą na ulicę i poznałam cię jak najdokładniéj, twój chód, — twoję figurę, — bo nawet z profilu twarz twoją zajrzałam, — nie, ja się nie mylę" zawołała z płaczem, „Baltazarze, tyś był u Halki, ty mnie niegodnie oszukujesz!"

„Ależ uspokój się Łusiu," błagał małżonek; „słowem honoru ręczę ci żeś się przewidziała; musiał to być ktoś inny, — może jéj brat jaki." —

„Halka nie ma braci," ozwała się Łucya, płacząc daléj.

Baltazar na próżno się tłómaczył i uspokajał żonę, napróżno wszystkich używał środków znanych sobie, by zażegnać burzę, — Łucya nietylko że mu uwierzyć nie chciała, ale przez kilka dni chodziła zasępiona i zmartwiona. Dopiero gdy Baltazar udowodnił jéj świadkami, że w tym samym czasie, w którym go widzieć miała wychodzącego od Halki, był w zupełnie inném miejscu, uspokoiła się nieco Łucya, — ale nie zupełnie. — „Któż mi zaręczy, że świadkowie ci prawdę mówią," pomyślała sobie, „może ich Baltazar nauczył, jak mówić mają; toć oni wszyscy po jednych pieniędzach." Baltazar czuł, że „słonko" jego niezupełnie się jeszcze wypogodziło; „licho nadało i Halkę," biadał z dnia na dzień, „Łusia ma trochę racyi, — podobały mi się rzeczywiście Halki czarne oczy, — śliczne stworzeńko, czyż ja winien temu jestem, że mi się podobała. Łusia mi nie dowierza, — hm, — fatalne położenie!" Przemyśliwał nad tém, jakby się ostatecznie uniewinnić przed żoną i przekonać ją, że go tą razą niesłusznie posądziła; ale w żaden sposób nic nie mógł obmyślić, coby go przywiodło do żądanego celu. „Zostawmy to czasowi," powiedział sobie wreszcie, „wszakżeż on najle-

pszym lekarzem, a ty, Baltazarku masz nowy dowód i nauczkę, żeby być ostróżnym.“

2.

Tymczasem zbliżał się zwolna 13 Grudzień, dzień imienin p. Kukasińskiéj. Uroczystość tę obchodzili małżonkowie zawsze w gronie przyjaciół, nie licznych ale serdecznych i domowi ich przychylnych. Pan Baltazar postanowił sobie tą razą sprawić żonie podarunek kosztowny i piękny, jakiego się spodziewać nie mogła, by zadokumentować nim swą miłość i stałe przywiązanie. Ależ oto znów nowy kłopot! „Cóż tu kupić?“ pytał się sam siebie. Przechodził zwolna w myśli wszystko coby stósownem być mogło na imieniny, ale stanowczo jakoś zdecydować się nie mógł. Jedno mu się nie podobało, — drugie było za nadto zwyczajne, — inne żona już miała, — tamto kto wie, czyby jéj się podobało! „Jestem najnieszczęśliwszym człowiekiem!“ wyrzekał biedny Baltazar, „chciałbym chętnie coś dać, – pieniędzy nie żałuję bo dzięki Bogu, starczyć mi jeszcze na to, — i to taka fatalna historya, że nie wiem jako żywo co! Ha, trzeba zostawić czasowi,“ pocieszał się, „toć się przecież coś takiego znalezie.“ —

I nie omylił się p. Baltazar, nazywając czas najlepszym lekarzem; rzeczywiście zdawało się, że p. Łucya zapomniała z czasem swego zmartwienia ostatniego, a szczęśliwy małżonek cieszył się niewymownie, że „słonko“ jego coraz mu weselszą twarzyczkę okazuje. — Nadeszła wigilia św. Łucyi, a p. Baltazar ze strachem pomyślał, że nie ma jeszcze podarunku dla żony, postanowił sobie dziś ostatecznie się zdecydować. — Od rana odwiedziła panią Łucyą Halka; Łucya z zadowoleniem uważała, że mąż jéj lubo przytomny wizycie, ledwo spojrzał na szwaczkę. Po odejściu Halki oświadczyła mężowi, że chciałaby się chętnie przejść na miasto. Baltazar z największą gotowością podał żonie rękę i wyszli. Przeszli kilka ulic, gdy Łucya, wydobywszy z kieszeni kartkę wizytową rzekła do męża podając mu ją: „patrz, jak się to cywilizacya wciska i do izdebek na trzeciem piętrze.“

„Więcéj moda, aniżeli cywilizacya,“ odrzekł Baltazar, a spojrzawszy na kartkę zawołał: „ależ to kartka Halki!“

„Tak, zostawiła mi ją, gdy dziś była rano u mnie; — ale patrz no, aniołku, jakiż to śliczny zegar stołowy stoi w oknie, — piękniejszego nie widziałam jeszcze w życiu mojém.“

„Rzeczywiście bardzo piękny, - bardzo ozdobny,“ odrzekł Baltazar, chowając mechanicznie kartkę Halki do swéj kieszeni i przystawając przy oknie wystawném, a w duszy pomyślał: „otóż i podarunek dla Łusi na jutro, — ucieszy mu się niezawodnie, — jak się to pięknie stało!“

Państwo Kukasińscy, obszedłszy jeszcze kilka ulic, uczyniwszy kilka zamówień na jutro, to w cukierni, to w składach korzennych, wrócili do domu, a pan Baltazar dawno już nie kładł się wieczorem z tak lekkiém sercem na spoczynek jak dzisiaj zadowolony, że i ostatniego kłopotu zdecydowania się na podarunek dla Łusi, tak korzystnie się pozbył. —

Pan Baltazar spał wybornie; — nazajutrz rychło rano wstał, ubrał się i wyszedł pocichu, żeby nie zbudzić Łusi, do miasta. Pobiegł wprost do zegarmistrza na Wodnéj ul. stargował zegarek, który się tak bardzo wczoraj Łusi spodobał, zapłacił zań dość znaczną sumkę i wybiegł na ulicę, by poszukać kogoś, któryby mu go zaniósł do domu, zanim Łusia wstanie. — Po chwili wrócił z „człowiekiem“ w niebieskiéj bluzie, wręczył mu zegar, a sięgnąwszy do kieszeni w któréj nosił kartki swe wizytowe, wyjął jednę z nich i dając ją „umyślnemu“, rzekł: „pospiesz się, gdzie go masz zanieść, na kartce stoi; a nieś ostróżnie, żebyś nie stłukł, i żeby cię żona moja nie spostrzegła, — bo to tajemnica, — rozumiesz?“

„Umyślny“ spojrzał na kartkę, potem na p. Baltazara, uśmiechnął się jakoś dziwnie i znacząco i rzekł: „rozumiem wielmożnego pana, — toć to ja nie pierwsze załatwiam podobną posyłkę, — będziesz pan ze mnie zadowolonym“, i odszedł. Pan Kukasinski w różowym humorze udał się za interesami do miasta, postanawiając sobie jak najwcześniéj ułatwić się z niemi i wrócić się do domu, powinszować Łusi. — Biedny on, nie przeczuwał wcale nowego zmartwienia, większego, aniżeli kiedykolwiekbądź, jakiego miał doznać z powrotem do domu.

Tymczasem przy ulicy św. Marcina, na trzeciém piętrze, Halka, czarnooka szwaczka, wstała dziś wcześniéj, by wyekspedyować do pani Kukasińskiéj powinszowanie. Wzięła więc bilet swój wizytowy, napisała na nim „najszczersze życzenia!“ włożyła w kopertę, zaadresowała i wysłała przez dziewczę. Lubo spodziewała się dziś w rannéj godzinie wizyty pani Łucyi, do przymierzenia sukni, którą jéj na dziś wieczór miała wykończyć, i mogłaby życzenia swe ustnie wynurzyć, to jednak wiedząc, jak po modzie sobie postąpić należy, wysłała raniutko bilet. — Poczem zabrała się do uporządkowania małego swego pokoiku, zamiotła go, posłała łóżeczko i zaczęła strzepywać kurzawę. Zbliżywszy się do komody, zaczęła ocierać wiszące nad nią fotografie i mimowolnie spoczął wzrok jéj na jednéj z nich, przedstawiającéj młodego człowieka, o miłych rysach twarzy.

„Kochany Józiu mój“, rzekła do siebie, „nie był wczoraj u mnie, musiało go było coś zajść, — dziś mnie z pewnością odwiedzi, — o jakże tęsknię za nim, gdy go dzień nie widzę. Jeżeli on mnie tak kocha, jak ja jego?“ I zadumało się dziewczę nad fotografią ukochanego, i chwil kilka stało wpatrując się w ulubione rysy twarzy. Nagle stuknięcie do drzwi obudziło ją z zadumy; „proszę“ zawołała drżącym głosem, a serce zabiło jéj z przelęknienia. W téj chwili otworzyły się drzwi, a w nich ukazał się mężczyzna w niebieskiéj bluzie z paką jakąś w ręku.

„Czy tu mieszka panna Halka Z . . . .?“ spytał się w progu.

„Tak jest!“ odrzekło dziewczę, „czegóż sobie życzycie?“

„Pan jakiś przysyła tu panience ten zegar, oto“, odrzekł człowiek w bluzie.

„To pewnie omyłka jakaś zaszła, miły człowieku“, ozwała się Halka, wpatrując się w piękny zegar stołowy, „czy wiecie może, jak się ten pan nazywa?“

„Musiałbym chyba znać wszystkich panów w Poznaniu po nazwisku“, ozwał się posłaniec, „panienka niech się nie obawia przyjąć tak pięknego podarunku; pan ten dał mi adres dokładny tu dotąd, więc musi panienkę znać, — a obcy nie przyśle takiego prezentu.“ To rzekłszy, postawił zegar na stół i odszedł.

Halka z upodobaniem zaczęła się wpatrywać w odebrany co dopiero podarunek; „pewnie to mój Józiu kochany uczynił mi taką niespodziankę, bo któżby inny? Powoli sprawia meble na przyszłe nasze gospodarstwo, — niech mu to Pan Bóg wynagrodzi“, i znów zadumało się dziewczę, a z oczu i twarzy znać było, że myśli przyjemne i miłe snuły jéj się po główce.

Nagle zapukał znów ktoś do drzwi, „proszę“ zawołała Halka i we drzwiach ukazała się p. Kukasińska.

„Witam panią“, rzekło dziewczę podchodząc do niéj, „i raz jeszcze składam pani najszczersze życzenia; — suknia . . .“ Nie dokończyła Halka zaczętego zdania, bo język zesztywniał jéj na widok zmiany w twarzy jéj gościa. — Pani Łucya, jak gdyby paraliżem rażona stanęła nieruchoma; oczy zwróciła na zegar, stojący na stole, śmiertelna bladość okryła jéj twarz — Halka przerażona ozwała się: „na Boga, cóż to pani?“

„Zkąd się tu wziął ten zegar?“ zapytała pani Łucya w miejsce odpowiedzi.

„Nie wiem; ktoś mi go przysłał przed chwilą!“ była odpowiedź.

„Więc panna nie wiesz, kto jéj podarunki przysyła, a mimo tego przyjmujesz je; — otóż ja pannie powiem, że wiem bardzo dokładnie, kto zegar ten pannie przysłał, nie potrzebujesz panna tak dziwnie patrzeć na mnie! Wiem coś więcéj jeszcze,“ mówiła w największym gniewie p. Łucya, „otóż że panna jesteś osobą niemoralną; — że mnie panna w niegodny sposób oszukujesz wraz z kimś innym jeszcze, — od téj chwili zrywam z panną wszelkie stosunki“ — p. Łucya znikła za drzwiami, trzasnąwszy niemi z całéj siły, zanim zdumiona i przerażona tém zajściem Halka zdołała przyjść do siebie —



Złotokwiat.
Gwoździk.
Torenia.

Fiołek rogaty.
Fuksya.
Dianthus Heddewigi laciniatus.

Róża bengalska.
Gwoździk.
Groszek wonny.

Nowe gatunki kwiatów.

„Na Boga, cóż się to dzieje?“ rzekła do siebie, ochłonąwszy z pierwszego przestrachu, „nic nie pojmuję, co chciała odemnie. Wie, kto mi zegar ten przysłał, — zarzuca, że ją oszukuję z kimś innym jeszcze, — że jestem niemoralną, — cóż się to wszystko znaczy? — Czyżby miała wiedzieć, że zaręczoną jestem z Józiem, czyż to co niemoralnego? — czyżby się może miała z nim znać, — może — ależ to nie podobna, — nie, Józiu wyraźnie mi wspominał, że jéj nie zna. Czyżby miała nagle dostać pomięszania zmysłów? — czy mnie się mięsza w głowie? —

Podczas gdy Halka gubiła się w najrozmaitszych domysłach, p. Kukasińska drżąc z gniewu, wsiadła do dorózki; — co koń wyskoczy kazała się zawieźć do swego pomieszkania; przed kamienicą przykazała dorożkarzowi, zaczekać na siebie chwil kilka i weszła do kamienicy. Wszedłszy do pomieszkania zawołała na służącą, by jéj zapakowała natychmiast najpotrzebniejsze rzeczy; poszukała papieru, atramentu i pióra; napisała list, — zaadresowała do męża, — zapieczętowała i zostawiła na stole. — Poczém kuferek kazała znieść na dół, krzykła dorożkarzowi: Stary Rynek No. . ., wskoczyła do dorożki, która ją w jednéj chwili uniosła z oczu zdumionéj służącéj.

„O dla Boga, co się to znów stało?“ mówiła do siebie służąca, wracając do opuszczonego mieszkania, „takiéj gniewnéj jeszcze jéj nie widziałam; — hm, hm, — z panem się dziś jeszcze nie widziała, nie mógł jéj przecież rozgniewać; wczoraj ściskali się wieczorem, dziś ucieka z domu od męża do rodziców, a jeszcze przy imieninach, — naspraszali gości, — co to wszystko znaczy? Człowiek za głupi na takie rzeczy, żeby je mógł pojąć.!“

(Dokończenie nastąpi.)

Nowe gatunki kwiatów.

Kwiaty służą do uprzyjemnienia życia ludzkiego. Bodaj który człowiek nie lubi kwiatów. Wiejska dziewczyna choć w malutkim ogródku pielęgnuje nogietki, słonecznik, lawendę, boże drzewko, po miastach choć na poddaszach znajdują kwiatki opiekę. To też sądzimy, że sprawimy przyjemność czytelnikom „Lecha“, podając ryciny i krótki opis niektórych nowych gatunków kwiatów.

Na stronie 36 w środku znajduje się śliczna odmiana fuksyi, tak zwana Księżna Walii *(Princess of Wales)*. Jestto jedna z najpiękniejszych fuksyi z pełném kwiciem. Nad fuksyą i po bokach znajdują się piękne odmiany gwoździków, tych ulubionych kwiatów ogrodowych. Jestto tak zwany gwoździk Jadwigi *(Dianthus Heddewigi)*. Zupełnie u góry jest cały krzaczek odmiany, zwanéj *laciniatus*, na lewo jest prześliczna odmiana *diadematus* z pełném kwieciem, a na prawo z pojedyńczém kwieciem. Gwoździki te są zdobne w różne cudne barwy.

Zupełnie u góry na prawo mamy groszek wonny (Lathyrus odoratus). Jestto kwiat mile pachnący o prześlicznéj barwie. Należy do tego samego gatunku co nasz groch i wika.

Na lewo ów krzak w doniczce jestto nowość kwiatowa, zwana po łacinie *Torenia Fournieri*. Roślina ta tworzy kształtny, piękny, okrągły krzaczek, obsypany ślicznemi kwiatkami żywo niebieskiego koloru z ciemnomodremi plamami. Można tę piękną roślinę hodować w doniczkach, a latem na wolném powietrzu. U dołu na prawo jest prześliczna róża bengalska, która nadaje się tak do pielęgnowania w pokojach, jak i w ogrodach. Z licznych odmian są szczególnie polecenia godne: ognisto-karmazynowa; Eugène Beauharnais purpurowa, przez cały rok kwitnąca; Ducher, śnieżysto-białéj barwy; Sanglant, ciemnoróżowa; Nemesis prawie czarna.

W środku na dole znajduje się fiołek rogaty *(Viola cornuta)*, który kwitnie nieprzerwanie od Kwietnia do Listopada, ztąd poleca się mianowicie na trawniki. Kwiaty są prawda bezwonne, ale daleko piękniejsze niż zwyczajnego fiołka.

Nakoniec na prawo znajduje się złotokwiat, tak zwane na wsiach wole oczy *(Chrisanthemum multicaule)* o prześlicznych złotych kwiatach.

Wszystkie te gatunki kwiatów są wielce polecenia godne.*)

PAMIĘTNIK

Rajmunda Bronikowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Po ukończonej kampanii austryackiéj prosiłem generała o uwolnienie mnie ze służby dla powrócenia do uregulowania stosunków familijnych. Generał zezwolił, ale do Końskich musiałem go odwieźć do hrabiego Małachowskiego, gdzie bawiłem przeszło tydzień. Nim wyjechaliśmy, wręczył mi generał własnoręczne pismo, które tu w kopii załączam.

W Krakowie w głównéj kwaterze,
dnia 9 Listopada 1809 roku.

„Do Wgo. Kapitana Bronikowskiego.

„Dąbrowski Generał dywizyi. —

„Wymierzając sprawiedliwą pochwałę, miło jest dla „mnie oddać świadectwo Imci Panu Raymundowi Broniko„wskiemu, który jako Polak przywiązany do swego kraju, nie „czekając wezwania powszechnego, sam stawił się na obronę „ojczyzny jego. —

„Od zaczęcia kroków nieprzyjacielskich pod Raszynem, „jako oficer sztabu mojego zostawał przy mnie, aż do końca „kompanii wszędzie najtrudniejsze missje z gorliwością usku„teczniał i na co tylko zdatność jego pozwalała, nie oszczędzał „trudów i narażenia się, aby swym szlachetnym uczuciom „dogodził.

„Bezinteresowne jego widoki na tym większą zasługują „zaletę, gdy powodowany jedynie celem służenia wojskowo „krajowi w czasie wojny, teraz z odgłosem pokoju usuwa się „na łono swojéj familii.

„Cieszę się tą słodką pamiątką, iż miałem w osobie „jego pod mym dowództwem współ-Rodaka, który z wszelkiego „względu zasługuje na powszechny szacunek, a dla mnie jest „chlubnie zaręczyć mu mój osobisty szacunek

Dąbrowski.“

Odprowadziwszy generała do Końskich, powróciłem do matki méj i u niej czas niejakiś bawiłem. W roku 1810 dnia 25 Marca przysłał mi generał Dąbrowski patent na

---

*) Ktoby sobie chciał te kwiaty sprowadzić, niech się zgłosi pod adresem: *„F. C. Heinemann Erfurt“* z żądaniem katalogu, a odbierze franko obszerny katalog, w którym podane są ceny. Możemy sumiennie polecić tę firmę, jednę z najpierwszych w Erfurcie, które miasto słynie na cały świat z ogrodnictwa.

kapitana do 2giej legii Nadwiślańskiéj przez ministra wojny Xięcia de Fêltre nadesłany, nominacyą przez cesarza Napoleona I podpisaną.

List generała w kopii załączam.

W kwaterze głównéj w Warszawie, dnia 25 Marca r. 1810.

Dąbrowski generał dywizyi do kapitana Bronikowskiego.

Posełam P. nominacyą na kapitana do 2giej Nadwiślańskiéj, która przez ministra wojny Xięcia de Fêltre na moje ręce dziś przesłaną została; Cieszę się mocno panie kapitanie żeś został w tym stopniu i podług życzenia swego umieszczony

Dąbrowski.

W ciągu tego czasu gdy ta nominacya nadesłaną została, byłem zajęty interesami familijnemi i dopiero w roku 1811 wyjechałem do Warszawy w celu udania się na przeznaczone miejsce, szczególnie, że się chciałem widzieć z generałem Dąbrowskim u którego byłem w obowiązkach, mając tylko od niego pismo pozwalające się oddalić dla interesów familijnych. Przybywszy do Warszawy oświadczono mi, by się wstrzymać z wyjazdem do Augsburga, gdzie się legion ten formował do którego byłem przeznaczony, ponieważ wszystkie wojska z Hiszpanii wychodzą na kampanią rosyjską, więc i ta legia tu nadejdzie. Więc nie wyjechałem i w Warszawie zatrzymałem się, a gdy wojska z Moskwy się cofały, przyłączywszy się do korpusu generała francuzkiego Renier który rezerwę utrzymywał, wróciłem do domu lecz wkrótce przybył do mnie Felicjan Płończyński z pięciu armatami i furgonami chcąc się przeprawić do Wrocławia za armją a że mu Kozaki drogę przecięły, więc zboczył poboczną drogą i dostał się do mnie, zabawiwszy przez dzień jeden, ruszyliśmy już nie wprost do Wrocławia bo drogi były poprzecinane lecz przez Dyrenfurt Lebus. Przeprowadziwszy Płonczyńskiego przez rzekę Odrę, wróciłem się Szląskiem do domu, gdyż już forpoczty kozackie zaczęły obsadzać brzegi rzeki i ścigać za nami; co się stało z Płończyńskim i z temi furgonami, nie wiadomo mi, bośmy się rozłączyli. —

Później zająłem się gospodarstwem mając wypuszczone z dożywocia od matki méj w dzierzawę dwa folwarki Sworów i Drogi, z majętności Golejewskiéj. Po ukończeniu kroków nieprzyjacielskich i kongresie Wiedeńskim, rząd pruski opanował Xięstwo Poznańskie w r. 1819. Matka nasza ustąpiła majętność Golejowską z pod dożywocia, ja utrzymałem się przy kupnie Golejówka, bracia Wiktor i Roman spłaceni summą szacunkową przypadającą z podziału. Brat Roman kupił wieś Krzyżanki, matka nasza zatrzymała w dożywociu Golejówko, każdy z braci dostał gotówką połowę, przypadającą na niego a druga połowa miała zostać po śmierci matki spłaconą. Brat mój Wiktor, że posiadał znaczny majątek tak swój jak z posagu żony, pałający chęcią powiększenia go nakłonił matkę, że zezwoliła zaciągnąć z depozytu sądowego summę pieniężną na część, która mu po śmierci matki przypadała, przez co siebie i mnie zgubił; lubo się zobowiązał opłacać prowizyą sądowi, lecz w kilka lat zabałamuciwszy cały swój majątek, nie dopełnił zobowiązania. Przyjechawszy do mnie nagle umarł, sprzedawszy przed rokiem swoję majętność a pieniądze, które przez kupujących miały być spłacone w tym roku, kiedy śmierć jego nastąpiła, wypłacone nie zostały, z czego procesa nastąpiły i konkurs się rozpoczął. —

Po tych czynnościach wyjechałem do Warszawy a ztamtąd do Siedlec, gdzie się toczył proces konkursowy majątku po Ignacym Wyszogocie Zakrzewskim, mając pretensyą na dobrach Zelechowie zapisaną w ilości 80,000 złp. przyznaną z dwuletniemi procentami. Wyrokiem sądu Siedlecskiego przekazani zostaliśmy do odebrania z wexlów króla Stanisława Poniatowskiego, do rządu wiedeńskiego. Zabrawszy wszystkie dowody, udałem się do Wiednia na początku 1830 roku. Tam przekonałem się w „Kamer Gerichcie“ iż wexle wypłacone zostały hr. Ludwikowi Skarbek, a nam fałszywe sąd dał wexle. Wróciwszy z Wiednia na końcu 11go Października 1830 r. z dowodami, nie pobawiwszy w domu długo wyjechałem do Warszawy w celu zaskarżenia sądu Siedlecskiego o fałszywe wskazanie summy nie exystującéj. —

Trafiłem właśnie na wybuchłą rewolucyą 29go Listopada 1830 roku. Przejeżdżając przez Piotrkow zawiadomiony zostałem w sekrecie przez podpułkownika Schneidera, który tam stał z oddziałem konnych strzelców, o rozpoczętéj rewolucyi w Warszawie; nie zatrzymując się, puściłem się w dalszą drogę; w Sochaczewie zatrzymałem się i poszedłem do generała Szembeka, którego znałem (z kampanii austryackiéj w roku 1809, dowodził on podówczas kompanią Francuzów, z którymi dokazywał cudu męztwa, waleczności.) w Sochaczewie pod ten czas dowodził regimentem strzelców pieszych jako Generał; gdym mu się przypomniał, przyjął mnie bardzo uprzejmie; zapytałem go, jak daléj postąpić, wziął mnie za rękę i zaprowadził do drugiego pokoju, gdyż w pierwszym pokoju było wiele osób, i pokazał mi dwa rozkazy, jeden Xięcia Konstantego, drugi komisyi rewolucyjnéj utworzonéj w Warszawie, i przedstawił mi swoje położenie w jakiem się znajduje, w końcu oświadczył mi, iż wyruszy ze swoim pułkiem zaraz, a mnie kazał się zatrzymać i ofiarował mi swój dom i mówił żebym się zatrzymał, aż on z drogi da mi uwiadomienie co mam daléj począć; usłuchałem i oczekiwałem uwiadomienia. — W nocy około 12téj godziny zapukał ktoś do okna mego pokoju, był to kapitan z tego pułku Sypniewski, który mi oddał kartkę od Generała Szembeka, abym przyjeżdżał do Błonia i tam czekał na niego. — Pospieszyłem i pojechałem do Błonia, gdzie się zatrzymał pułk jego. — Wtem spostrzegłem hr. Kickiego, którego z kampanii 1809 znałem, był wtenczas adjutantem przy Gen. Roznieckim, po przywitaniu, gdym mu oświadczył, że oczekuje za Gen. Szembekiem, on mi to samo powiedział, iż przyjechał z Warszawy aby Gen. z pułkiem sprowadzić i czeka na niego aż powróci od Xięcia Konstantego do którego pojechał do Czerniakowa, i że Gen. Szembek miał powiedzieć oficerom, iż jeżeli o godzinie szóstéj nie wróci, to mają nie czekać za nim i ruszyć gdzie im się podobać będzie.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Pieśń Kowalska.

Daléj chłopcy, bierzcie młot!
Niechaj kipi z czoła pot.
Bo pracować temu trzeba,
Kto chce mieć kawałek chleba,
Gdyż jedyna tylko praca
Wszystkich prawdziwie zbogaca.

Kuj żelazo póki czas!
Korzystaj zeń każdy z nas.
Błyskawicą gdy on mignie,
Nikt go więcéj nie doścignie.
Cała praca zaś po czasie
Na nic już nam nie przyda się.

Dymaj miechem, młotem kuj!
Wszystkich swoich sił spróbuj
Oj kuj bracie, pókiś zdrowy
Szyny, osie i podkowy.
Bo gdy legniesz w zimnym grobie,
To odpoczniesz wtenczas sobie.

X. S. Tomicki.

APOLOGIA

czyli Obrona postylli katolickiej Jakóba Wujka.

Przyczynek do Bibliografii XVI wieku.

Bibliografia Polska XV i XVI stulecia, zestawiona przez K. Estrejchera, wykazuje pod r. 1582 i na stronie 211 dzieło z następującym napisem:

„Apologia tj. obrona Postylle Katolicznej. Kraków. 1582, fol. Dz.“ (znajduje się w bibliotece hr. Tarnowskiego w Dzikowie.)

Apologia ta nie jest, zdaniem mojem, osobnem dziełem, ani nie wyszła r. 1582, lecz jest dodatkiem do drugiego tomu Postylli Większéj J. Wujka, wydanéj po raz wtóry w r. 1584.

Tytuł tegoż dodatku, który tu wypisuję z egzemplarza hr. Adama Lwa Sołtana, brzmi dosłownie:

Apologia,
tho iesth
Obrona Postylle Katholicznéy, przeciw sprosnym wykrętom y potwarzom Postylle Heretyckiey, w Krakowie wydaney. Roku Pańskiego 1582.
przez tegóż D. Jakuba Wuyka z Wągrowca,
Theologa Societatis Jezu.

Na odwrotnéj stronie karty tytułowéj zaczyna się przedmowa autora do czytelników i ciągnie się przez dwie jeszcze strony nieliczone; następujące zaś karty liczbowane są od str. 515—702.

Tytuł powyższy opiewa wyraźnie, że Apologia ta wymierzoną jest przeciw Postylli „Heretyckiéj“ wydanéj w Krakowie r. 1582, rok ten 1582 jest przeto rokiem wydania Postylli Heretyckiéj, ale nie saméj Apologii, tem mniéj że Wujek przedmowę swoję pisał roku następnego „w Kołozwarze, w Siedmigrodzkiéj ziemi, w dzień Marcina Świętego,“ a Postylla jego Większa wyszła, w drugiem wydaniu, dopiero w r. 1584.

Z Przedmowy Wujka dowiadujemy się prócz tego następujących jeszcze szczegółów:

„Po wydaniu pierwszym tey Postylle, mówi autor, Czytelniku miły, słuchy mię dochodziły, że się przeciwnicy grozili, zbierali, y namawiali na Synodziech swoich przeciwko niéy. Y czekałem odpisu przez kilka lat: dziwując się niezwyczayney tych ludzi cierpliwości, którzy iako dla uporu swego nie chcą nigdy żadnemu ustąpić; tak zawżdy prędszy są ku mówieniu y pisaniu, a niżli ku słuchaniu. A widząc że tak długo nic od nich nie słychać: wydałem potym y drugą Postylle mnieyszą dla pożytku Kościoła Bożego. Aliści dopiro przeszłego roku (1582) dziewiątego po wydaniu Postylle tey większey (wyd. r. 1573), gdym się iuż od nich niczego nie spodziewał, wydali też przeciwnicy Postylle swą, na którą się tak długo zbierali, prawie ducha Lutrowego y Kalwinowego, to iest, iadu, błędu, fałszu, zdrady wykrętów, potwarzy, kłamstwa, złorzeczeństwa, bluźnierstwa, y kacerstwa pełną. Którą iako sami świadczą, za społecznym zezwoleniem, u patronów swoich radą napisali, y od wszystkich ministrów swych na synodzie Piotrkowskim przyjętą y pochwaloną, naprzeciwko Postylli naszey wystawili i t. d.‘

O „Postylli heretyckiéj,“ wydanéj w Krakowie r. 1582 przez Grzegorza z Żarnowca, i przełożonéj na język niemiecki w r 1587 znajdzie Czytelnik bliższe szczegóły w Historyi Literatury Polskiéj Bentkowskiego, II, 560 i w Obrazie bibliograficzno-historycznym Jochera pod Nr. 5191 i 4442, ad 4, w przypisku. —

Wynika ztąd, że wykazana przez p. Estrejchera „Apologia“ jest albo zupełnie innem, nieznanem mi bliżéj dziełem, albo też mylnie wykazanem osobno*) i pod niewłasciwym rokiem.

*) Osobno też wykazaną jest w Brown'a Bibliografii pisarzów assystencyi polskiéj Tow. Jez. przekład X. W. Kiejnowskiego, — pod Nr. 14 dzieł Wujka.

E. Callier.

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu — Czcionkami H. Schmaedickiego w Poznaniu.